NUMMER 40. DNIA 5-go PAŹDZIERNIKA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Piosnki ludowe.

Ś. p. Oskar Kolberg zebrał i zanotował w ciągu życia swego kilkanaście tysięcy pieśni ludu wszystkich ziem polskich. Większą część ich wydał w kilkunastotomowem dziele p. t.: „Lud, jego, obrzędy, śpiewy, tańce etc.“ przysługując się tem wydawnictwem niesłychanie zarówno literaturze, jak i muzyce naszej. Kolberg notował tylko melodje, nie harmonizował ich i nie narzucał w ten sposób jakichś pomysłów harmonicznych muzykom, korzystającym z jego zbioru, ale zebrawszy olbrzymią kolekcję drogich kamieni, pozwolił szlifować je każdemu na swój sposób.

Bezpośrednią korzyść ze zbiorów Kolberga dla naszej sztuki muzycznej już dzisiaj zauważyć możemy. Dzięki im, powstała w ciągu lat kilkunastu pokaźna literatura choralna, stanowiąca bardzo pożądany materjał dla repertuaru naszych towarzystw śpiewackich. Przed kilkunastu laty istniało w całej Polsce zaledwie kilka towarzystw śpiewackich, śpiewających dla braku oryginalnych utworów polskich, niemal wyłącznie tłumaczone piosnki niemieckie, t. zw. „Regensburgery“. Dzisiaj liczymy towarzystw już kilkadziesiąt, obywających się najzupełniej bez śpiewników niemieckich i pielęgnujących polską pieść ludową, ujętą w kunsztowną formę przez artystów takich, jak: Żeleński, Noskowski, Münchheimer, Grosmann, Jarecki, Niewiadomski etc. Jest więc dzisiaj i co i komu śpiewać. Budzi się też powoli i u młodzieży naszej potrzeba śpiewania artystycznego i w doborze głosów pięknych i w zachowywaniu właściwych dynamicznych efektów i w wyborze utworów znać postęp niemały. Jeżeli zamiłowanie to wzrastać będzie, to za lat niewiele będziemy mogli sobie powiedzieć, że i pod tym względem nie ustępujemy narodom zachodu, trzeba jednak, aby nasi wielcy i mali mistrze nie ustawali w pracy, nie kusili się wyłącznie tylko o tworzenie wielkich oper, oratorjów i symfonii, ale pisali dużo pieśni bądź oryginalnych, bądź też ludowych, układając je na chóry męskie, żeńskie i mieszane. Im utwory będą prostsze w pomyśle, a szlachetniejsze i wykwintniejsze w opracowaniu, tem więcej mogą liczyć na szeroką popularność i stać się tem samem potężnym czynnikiem w umuzykalnieniu coraz szerszych kół naszego społeczeństwa i w przygotowaniu go do zrozumienia i umiłowania dzieł wielkich mistrzów.

Wracając do skromnej naszej piosnki ludowej, muszę zaznaczyć, oprócz liczebnego bogactwa także i wielką jej różnorodność pod względem treści, formy i nastroju. Mylą się bardzo wszyscy ci którzy sądzą, że istnieją u nas tylko trzy typy piosnki ludowej, mianowicie: mazurek, krakowiak i dumka. Nasze pieśni ludowe mają najrozmaitsze zastosowanie przy licznych obrzędach i zwycza-

czajach wiejskich, a różnorodność ich form wynika z improwizacji w danej chwili. Mamy tedy pieśni na nowy rok, zapusty, wielkanocne, na obchód wianków, sobótkowe, dożynkowe, na Dzień Zaduszny, Boże Narodzenie, kolendy, jako też pieśni szopkowe. Nie mało śpiewa także lud nasz pieśni okolicznościowych z okazji ślubu i wesela. Dziewosłęby, zaręczyny, dziewiczy wieczór, ranek przedślubny, rozpleciny, wyjazd do ślubu, powrót z kościoła, uczta weselna, oczepiny, wianowanie, przenosiny — to liczne okazje dla naszego ludu do tworzenia wesołych i rzewnych, skocznych i świętnych piosenek. Osobny dział stanowią dumy i dumki, jako też pieśni dziadowskie, mające w sobie trochę charakteru baladowego, a już iście moc u nas pieśni pasterskich, tęsknych i żartobliwych oraz t. zw. „wyrwasów“, czterowierszy, improwizowanych śród tańca.

Zachodzi słuszna obawa, że wiele niespisanych dotąd pieśni ludowych zginie bezpowrotnie. Do siół i wiosek naszych wkradają się dzisiaj coraz częściej melodje marszów wojskowych, walców i polek, a nawet tu i ówdzie zawloką wracający z wojska urlopnicy jakiś urywek z operetki lub melodje z tingel-tanglu. Usłyszeć można dzisiaj na naszych łąkach i polach niejednokrotnie fragmenty z marsza Radeckiego, „Hoch Habsburg“, „Höher Peter, „Fischerin du kleine!“ itp. Parobcy i dziewki nucą coraz chętniej modne z miasta przywiazione śpiewki i zapominają o dawnych piosnkach, zachodzi zatem obawa, czy starsze piosenki nie zginą zupełnie.

Jeden z poważnych i zasłużonych zbieraczy naszych pieśni ludowych, pan Zygmunt Glogier, żali się w przedmowie do wydanego wespół z Noskowskim dzieła „Pieśni ludu“ (1891) na coraz widoczniejsze wśród ludu zanikanie rodzimej piosenki. Wspomina także i o trudnościach, jakie zachodzą przy spisywaniu tekstów i melodji. Dziewczęta i chłopcy nie umieją śpiewać piosnek w tempie wolnem z zachowaniem przytem właściwego rytmu, ani też przerywać co kilka taktów, aby piszący mógł nadążyć, mylą się często, opuszczają słowa pracy melodyjne, nic więc dziwnego, że notacja taka często bywa niedokładną. Dla zbieraczy pieśni ludowych przyrządem pierwszorzędnego znaczenia móglby być udoskonalony obecnie fonograf. Podsłucha on i utrwali każdy ton i słowo, powtarzając je notującemu w miarę potrzeby dowolną ilość razy.

Amatorom i zbieraczom pieśni ludowych polecam tę myśl gorąco, a pewny jestem, że za pomocą fonografu uda się wyrwać z zapomnienia i zachować do przyszłości niejedną jeszcze piękną piosenkę.

Jan Gall.

Emil Zola.

Literatura z „przedwczoraj“, jak ją nazywają, to znaczy naturalizm lat 80-ych, miał na swoim horyzoncie dwa słońca. Od północy świecił nam Henryk Ibsen, zalewając białem zimnem światłem skały i pomarzłe brzegi fjordów, od południa Emil Zola rozpalał światło swoje po zaułkach życia miast i wsi, aby ztamtąd wywlec ich nędze. Prawdy, prawdy! wołali jeden i drugi, usiłując nadać twarzom swoim wyraz tej bezwzględnej surowości, która to niby zerwała z metafizycznymi mrzonkami, z kreśleniem świata takim jakim by się chciało, żeby on był, lub nie był, a natomiast dobywa zeń rzeczywistość objektywną bezwzględnie, aż do okrucieństwa. Ale żadna rzecz ludzka, żadne postanowienie, nie może kresu swego osiągnąć. Ibsen pod koniec życia zamienił się nawet w mistyka, a Zola, choć wiernym pozostał swym pierwotnym zasadom estetycznym, w głębi, podobnie jak tamten, ani na chwilę nie przestał być poetą w zwyczajnem tego

słowa znaczeniu. Udawał do końca fotografa, który z mechaniczną dokładnością odtwarza wszystko, co mu w ręce przyjdzie, ale było to tylko usiłowanie, w istocie bowiem, nawet przy największej sumienności w szczegółach, dawał raczej odległość rzeczywistości od ideału niż ją samą. Był poetą, t. j. człowiekiem, który wprzód swoim temperamentem zabarwia swoje otoczenie, a dopiero w takiem zabarwieniu przedstawia ją drugim w utworach. Że zaś ten temperament był u Zoli nadzwyczajnie silnym, więc i zabarwienie utworów musiało być bardzo jaskrawem. Im więcej zaś starał się o prawdę rzeczywistości, tem groźniej wypadać ona musiała, będąc z psychologicznej konieczności tylko przeciwstawieniem niewyrażonych wprost, niemniej jednak silnych pragnień i aspiracji tego człowieka.

To też tylko bardzo naiwni ludzie wierzyli Zoli na słowo, że jest naturalistą. Kto zdolnym był patrzeć poza przedstawione w utworach wypadki, ten, pomimo wysiłku Zoli, aby operować tylko konkretnymi szczegółami, dostrzegł niezawodnie, choćby w samym ich doborze tę przesadę, która to wynika ze spotkania się rzeczywistości z silną wyobraźnią, podpędzaną biczami uczucia. Dość spojrzeć w myśli na taki obraz jak końcowa scena z „Bête humaine“. Z pędzącej w najszybszem tempie lokomotywy spadli maszynista i palacz, a żelazny potwór leci nieokiełznany, wlokąc za sobą na zgubę cały pociąg, nabity żołnierzami, spiewającymi wesoło, bo nie przeczuwającymi niczego. Dość takiego obrazu, aby zrozumieć, że bezwzględny objektywizm nie stwarza podobnych rzeczy.

Nie pora, ani miejsce tu przesnuwać nici dowodów przez dzieła tego pisarza pod świeżem wrażeniem jego zgonu, ani też badać szczegółowo jego działalności. Zresztą w życiu Zoli daje się wyraźnie dostrzedz to, co powiedziano powyżej, a jeżeli ma być mowa o jego znaczeniu to w tem też tkwi najgłębsze jego źródło.

Od czegóż zaczął swą pisarską działalność? Od objawienia temperamentu w ataku na współczesną produkcję literacką. Już jako uczeń, doznał Zola skutków niepoznania się na nim ze strony oficjalnych powag, gdyż przez nauczycieli uważanym był za nieutalentowanego, a przy egzaminie nawet „przepadł z literatury“. I jakżeż miał to pogodzić z niedającemi mu spać marzeniami, o tem, żeby zostać poetą wielkim, jak Milton, lub ktoś inny z galerji wielkich mistrzów słowa? Chyba tak, że ta literatura, która panuje na świecie, a która go odpycha, jest złą, nie taką, jak być powinna. Utwierdził się zaś w tem jeszcze więcej, gdy pierwsze jego dzieła jak młodociane „Soeur des pauvres“, odesłano mu z wzmianką, że jest rewolucjonistą, a następne, jak zbiór nowel „Contes a Ninon“, „Mystéres de Marsaille“ i „Veu d'une morte“, spotkały się z wyjątkowo nieprzychylnem przyjęciem. Wielu ludzi pod wpływem takich przeciwności cofa się, zaskorupia w uporze ideowym, odrywa od świata i zostaje maniakami. Zola obdarzony, podobnie jak Wiktor Hugo, żelazną wytrzymałością w atakowaniu swego otoczenia, płynącą z głębokiego przekonania o jego nicości, uderzył w pisemku „Mes haines“, wprost na wszystkich, których „nienawidził“. Zgromił więc w literaturze współczesnej nędzne fabrykaty kryminalistyczne „Gaborriau'a“ wyśmiał rozwlekły sentymentalizm Oktaviusza Feuilleta i innych, którzy wówczas panowali na rynkach literackich.

I tu początek jego zasługi. Kto ich dziś wydaje, a nawet czyta? Stanowią oni co najwyżej wybrakowany materjał czytelń publicznych, z którego korzysta się tylko wówczas, gdy absolutnie nie ma nic innego do czytania.

Po tem intermezzo krytycznem, w którem Zola wziął na swój temperament życie z drugiej ręki, bo nie rzeczywiste lecz w ludzkiej przeróbce — przeszedł on w dalszym ciągu do krytyki bezpośredniej tych objawów życiowych, które mu się wydawały znamiennymi, czyli zawierającymi ogólniejsze prawidła.

Bodźcem tworzenia w ostatniej instancji nie było mu, jak zresztą nikomu, jedynie objektywne poznanie. Mówił, że tak i tak być powinno w sztuce, mimo to jednak sam tak nie tworzył. Ten sam niebosiężny okrzyk „nienawidzę“, który był hasłem tamtej krytyki, był zawsze pozostał źródłem jego inspiracji poetyckiej. Nie należy się lękać groźnie brzmiącego słowa i wysnuwać zeń banalnych frazesów o tem, że nienawiść nie może zrodzić nic dodatniego, że dziełem jej tylko burzenie etc. etc. On nienawidził nędzy i przedstawiał ją, aby dać cały jej obraz, przerazić nim, pomódz wedle sił do jej usunięcia. To też miał prawo sam o sobie powiadać, że jego „nienawiść jest świętą, nienawidzić, to kochać, w nienawiści serce

ulgę znajduje, nienawiść czyni sprawiedliwość, nienawiść nas podnosi“.

To kierowało nim, w pierwszem z dzieł, które wywołały sensację tj. w „Zwierzeniach Klaudjusza“, które przypłacił utratą posady. Ta nienawiść do brudów, nagromadzonych po zakamarkach duszy, była źródłem szeregu powieści znanych pod wspólnym tytułem „Rougon-Maquartów“, gdzie opisuje smutne losy rodziny, zmuszonej przeżywać skutki rozlicznych nędz odziedziedziczonych. W powieściach „Germinal“ i „Oeuvre“ przeciwstawia znowu nędzę i wyzysk robotników tragizmowi artysty. A sławny „Assomoir“, wspomniane już „Béte humaine“, a „L'argent“, a „La terre“, czyż to wszystko nie są płody nienawiści do zła, które dostrzegał w życiu a potem przedstawiał. Nie ma prawie dziedziny, którejby nie dotknął w swojej pogoni za złem. W „Debacle“ oskarża politykę trzeciego cesarstwa, w cyklu „Le trois villes“ daje szeroki obraz współczesnych nędz politycznych i społecznych.

Wreszcie jakże wyraźnie wystąpiło to samo w aferze Dreyfusa, gdzie Zola zaatakował nie ogólny jakiś objaw zła, lecz konkretny, sporadyczny wypadek niesprawiedliwości ludzkiej. Nie jest to, jakby chcieli niektórzy, najważniejszym punktem działalności wielkiego pisarza. Raz dlatego, że w dziełach więcej jest tego, co przynieść może ludzkości więcej niż bezpośredni pożytek, a powtóre, że i ten skutek, który miało dla sprawy Dreyfusa wmięszanie się do niej Zoli, nie zostałby był osiągniętym, gdyby nie jego powaga, ugruntowana w setkach tysiący wydań dzieł, wymienionych powyżej. W każdym razie jednak fakt, że Zola wmięszał się do rzeczy niebezpiecznej, że nie cofnął się przed groźbą więzienia i całego potopu błota, jakie nań wylać musieli przeciwnicy sprawy, jest także dowodem czystości źródła, z którego płynęły aspiracje Zoli. Miał odwagę być tendencyjnym bezwzględnie.

I tem też tłumaczy się, że nawet przed sprawą Dreyfusa tj., kiedy jeszcze nie były przezeń zaczepione stronnictwa, był Zola już jako pisarz celem najróżnorodniejszych ataków. Nie mamy tu na myśli skromnisiów, ani pierwszych lepszych świętoszków. Z nich mógł sobie Zola tak samo nic nie robić, jak z tych niedowarzonych lub zboczonych, którzy go sławili, za to, że w dziełach jego znajdowali okazję do delektowania się właśnie zboczeniami. Ale nawet ludzie jak np. Nietsche, którzy przecież stanęli na wysokości swojego czasu pod względem umysłowym, należeli do chóru banalnych potępiaczy francuskiego naturalisty. „Zola oder die Freude zu stinken“ powiada on za drugimi, jak gdyby nie zdołał się wzbić ponad suggestję określeń, powszednich, tylko wypowiedzianych z właściwą mu lapidarnością.

Jest to tem dziwniejsze, że ten sam Nietsche tuż obok tego wyroku wydaje drugi, mówiąc o Wiktorze Hugo, że jest to „Farus am Meere des Unsinns“. Mniejsza o to, że i ten wyrok wypływa więcej z chęci popisu w aforystycznej dosadności, niż ze sprawiedliwego sądu o tych dwu ludziach, ale samo sąsiedztwo tych sądów nie powinno mu było na nie pozwolić. Wielkiego romantyka francuskiego potępia za wybujałość wyobraźni, a Zolę za przeciwieństwo tej właściwości, za zbyt bezwzględny krytycyzm. Tymczasem, gdyby się był zastanowił dobrze, to byłby poznał, że ci ludzie nie stoją na krańcach przeciwległych.

Zola twierdzi wprawdzie, że w metodzie jest uczniem Flauberta, a towarzyszem Goncourtów, co do celów zaś, to prowadzi dalej dzieło Balzaka zaczęte przezeń w „Komedji ludzkiej“. Tymczasem tylko to ostatnie jest prawdą o tyle, że Zola z Balzakiem mają, jako wspólną cechę pisarską, sumienność w gromadzeniu faktów. I jeden i drugi przed przystąpieniem do pisania gromadzą olbrzymi materyał studjów i notat, obydwaj unikają t. zw. upiększeń i dążą niezmordowanie do wytkniętego celu. Ale ani Balzak ani Flaubert, ani Goncourtowie nie mają tej siły temperamentu i wyobraźni co Zola. Pod tym względem podobnym on jest właśnie do Wiktora Hugo. Tylko podczas gdy tamten z nadzwyczajną łatwością odrywa się od rzeczywistości dla konstruowania swoich niebotycznych ideałów dobra i piękna, umieszczonych gdzieś poza światem realnym, Zola rozpycha swą wyobraźnią rzeczywistość samą, a że chodzi mu w niej przeważnie o zło, więc to zło się tak bardzo rozwielmożnia w dziełach.

Ot i tajemnica oburzeń niesłusznych, jeżeli się zważy, jakie jest jej źródło najgłębsze u Zoli. Niesłuszne one są także i ze względu na skutki. Zola daleko więcej wzbudził wstrętu do występku, niż wielu z jego poprzedników pseudo-romantycznych, lub tych fabrykantów sensacyjnych romansów, których zdmuchnął z horyzontu we

wspomnianem piśmie „Mes haines“. Obrazy jego, te zwłaszcza, które spotykają się z najzaciętszymi atakami, — np. zboczeń seksualnych — podniecają daleko mniej, niż np. u takiego Sule'go, Gaborieau'a i innych.

Dzieje się to w wielkiej mierze także z tego powodu, że Zola, podobnie jak Voltaire, przykłada wielką wagę do zdobyczy współczesnej wiedzy i opisy jego mają charakter naukowy. Z tego płynie też wiele cech, które obniżają wartość estetyczną dzieł Zoli. Dzięki impetowi wewnętrznemu nadaje on tym naukowym doktrynom, w które wierzy, zbyt wielkie znaczenie, tak — np. teorji o dziedziczności lub taine'owskiemu milieu i do nich potem naciąga wypadki. Poza tem przeładowuje on zbytnio opisy naukowym baastem, mającym często wartość tylko chwilową, pozbawia je przez to trwalszej doniosłości i robi się nudniejszym bez korzyści dla jakiejś głębszej ich prawdy.

Jeżeliby więc Zoli można robić zarzuty, to chyba, aby takie strony zaczepiać. Oczywiście, że teraz jeszcze nie czas na ich wyczerpanie, wiele rzeczy, wiele zapatrywań w nich nie miało jeszcze czasu stracić swojej doniosłości. Zresztą wszystko, co dotąd na tem polu krytyki dzieł Zoli zdziałano, to albo puste wojowanie znaczeniami słów takich, jak naturalizm, realizm, idealizm itp. albo krytyka mająca raczej etyczne, niż estetyczne lub filozoficzne podstawy. Na tem opierają się przeważnie sądy zarówno o samym Zoli, jako też i o jego wpływie na umysłowość współczesną.

Na razie, cokolwiekby przyszłość pod tym względem przyniosła, da się stwierdzić, że po nim byle elukubracją świata zdobyć nie można, że dzieło, jeśli ma co być warte, musi mieć faktyczne podstawy, że nauczono się nie bać wielu rzeczy i wprost je wypowiadać. To, że nowsza generacja poetów poszła innemi drogami, że mniej zwraca uwagi na czysto-zewnętrzną stronę wypadków, której Zola tak ogromne przypisywał znaczenie, że przeto wydaje się, jakoby on się już przeżył, to tylko pozory. Zmieniają się formy twórczości, ale zasady nie poszły na marne. Przeciwnie ta reakcja przeciwko naturalizmowi wyznawanemu więcej przez Zolę, niż przeprowadzanemu istotnie, jest zastosowaniem raczej, niż zaprzeczeniem jego zasad, tylko że odnoszą się do innych stron życia. *St. W.*



Raj dla kotów.

NAPISAŁ EMIL ZOLA.

I.

Jedna z mych ciotek zostawiła mi w spadku kota rasy Angora, który jest z pewnością najgłupszem stworzeniem, jakie znam. Oto, co mi ten kot opowiedział w pewien wieczór zimowy przy ciepłym kominku.

*

Miałem wówczas dwa lata i byłem pewnie najtłuściejszym i najnaiwniejszym ze wszystkich kotów. W tak młodym wieku okazywałem przesąd zwierzęcia, które gardzi wygodami ogniska domowego. A jednak jakże dziękować powinienem był Opatrzności za to, że umieściła mię u pańskiej cioci! Dzielna ta kobieta kochała mię nadzwyczajnie. Miałem u niej w głębi szafy prawdziwy pokój sypialny, poduszki z pierza i potrójne przykrycie. Żywność była równie dobra, jak spanie. Nigdy nie dostawałem chleba lub zupy, lecz raczono mię samem mięsem i to dobrem mięsem, jeszcze krwią ociekającem.

Ale cóż z tego! Wpośród tylu wygód zachciewało mi się i marzyłem tylko o tem, by się wymknąć przez uchylone okno i uciec na dachy. Sprzykrzyły mi się pieszczoty, nudną mi się

wydała miękka pościel i wstrętem przejmowała własna tusza. Znudziło mi się, że przez cały dzień miałem być szczęśliwym.

A muszę panu powiedzieć, że wyciągając szyję, spostrzegłem z okna dach przeciwległego domu. W tym dniu biło się na nim czterech kotów, jeżąc sierść, wznosząc ogon w górę, przewracając się po dachówkach, w pełni słońca, klnąc z radości. Nigdy jeszcze nie patrzyłem na tak nadzwyczajne widowisko. Wtedy moje przekonania ugruntowały się. Prawdziwe szczęście było na tym dachu, poza tem oknem, które tak starannie zamykano. A na dowód przytaczałem sobie, że tak samo zamykano i drzwi szaf, za któremi ukrywano mięso.

Powziąłem postanowienie ucieczki. Przecież w życiu musi być coś oprócz krwawiącego mięsa. Jest tam coś nieznanego, jakiś ideał. Pewnego dnia zapomniano przymknąć okna w kuchni. Skoczyłem na daszek, który był pod oknem.

II.

Jakże piękne były te dachy! Brzegiem biegły szerokie rynny, z których dobywała się woń rozkoszna. Chodziłem sobie po tych rynnach, a łapki grzęzły mi w delikatnem błotku, które było ciepłe i przyjemne nad wyraz. Zdawało mi się, że stąpam po aksamitach. A słońce dobrze przygrzewało i topniało we mnie sadło.

Nie będę jednak taił przed panem, że drżałem na całem ciele. Śród mej radości były także powody do trwogi.

Osobliwie przypominam sobie jedno straszne wzruszenie, skutkiem którego o mało nie spadłem na bruk. Trzy koty, które stoczyły się ze szczytu domu, zbliżyły się ku mnie, miaucząc przeraźliwie. A gdy już omdlewałem ze strachu, wyśmiali mnie jako ostatniego głupca i powiedzieli, że tak miauczą dla żartu. Więc i ja począłem miauczeć wraz z nimi. Było to ucieszne. Moi weseli towarzysze nie mieli takiej tuszy, jak ja. Podkpiwali ze mnie, gdy staczałem się, jak kula po płytach cynkowych, rozgrzanych żarem słonecznym. Jeden stary koczur z tej bandy szczególnie mię polubił. Zaproponował mi, że się zajmie moją edukacją, co przyjąłem z wdzięcznością.

Ach, jakże daleko odemnie były wygódki, doznawane u pańskiej cioci: piłem wodę z rynien, a nigdy mleko ocukrzone nie wydawało mi się równie smacznem. Wszystko zdawało mi się dobrem i pięknem. Przeszła opodal kotka, zachwycająca kotka, której widok napełnił mię nieznanem dotąd wzruszeniem. Dotychczas tylko we snach widywałem te znakomite istoty, których kręgosłup odznacza się podziwu godną gibkością. Trzech moich towarzyszy i ja rzuciliśmy się na spotkanie przybyłej. Wyprzedziłem innych i już miałem powiedzieć komplement nadobnej kotce, gdy jeden z kolegów ukąsił mię straszliwie w szyję. Wydałem krzyk boleści.

— Co tam! rzekł stary koczur, usuwając mię na stronę, jeszcze nie jedną kotkę spotkasz.

III.

Po całogodzinnym spacerze poczułem gwałtowny apetyt.

— Cóż wy tu jadacie na dachach? spytałem przyjaciela koczura.

— A to, co się znajdzie, odpowiedział roztropnie.

Odpowiedź zaambarasowała mię, bo, chociaż pilnie szukałem, nie mogłem niczego znaleźć. Zobaczyłem wreszcie, że na poddaszu młoda robotnica przyrządzała sobie śniadanie. Na stole pod oknem leżał piękny kotlet, apetycznie zrumieniony.

„Dobry to dla mnie kąsek“ pomyślałam naiwnie. I skoczyłem na stół i porwałem kotlet. Ale robotnica, która mię spostrzegła, wymierzyła mi w grzbiet straszny cios miotłą. Popuściłem mięso i uciekłem, klnąc przeraźliwie.

— Wprost ze wsi, widzę, przychodzisz — rzecze koczur. Mięso, które jest na stołach, zrobiono, abyśmy go zdala pożądali. W rynnach trzeba szukać pożywienia.

Nie mogłem tego nigdy zrozumieć, że mięso z kuchni nie należy do kotów. A żołądek mój zaczął się na serjo gniewać. Koczur dopełnił miary mej rozpaczy, mówiąc, że należy zaczekać do nocy. Wtedy, rzekł, spuścimy się na ulicę i przeszukamy śmieciska. Czekać do nocy! On mówił to ze spokojem, jak filozof zatwardziały. A ja omdlewałem na samą myśl o tak długim poście.

IV.

Nastała zwolna noc i to noc mglista, która mię mrozem przyjęła. Wkrótce i deszcz jął padać, drobniutki a dokuczliwy, miotany nagłymi podmuchami wiatru. Wydostaliśmy się przez okienko w klatce schodowej. Jakże mi się brzydką wydała

ulica! Nie było tam już tego przyjemnego ciepła i jasnego słońca, nie były to już te dachy oświetlone, gdzie tak przyjemnie wygrzewało się. Łapki ślizgały mi się po brudnym bruku. Z goryczą przypomniałem sobie moje potrójne przykrycie i poduszkę z pierza.

Zaledwie stanęliśmy na ulicy, gdy mój przyjaciel koczur zaczął się trząść. Skulił się ile możności i pomknął ostrożnie wzdłuż domów, mówiąc mi, abym jak najprędzej za nim pospieszył. Skoro tylko napotkał bramę zajezdną, skrył się w niej spiesznie, wydając pomruk zadowolenia. A gdym go pytał o przyczynę tej ucieczki, spytał:

— Widziałeś tego człowieka z koszem na plecach i z pogrzebaczem w ręce?

— Widziałem.

— Otóż, gdyby nas dostrzegł, zabiłby nas i zjadł, upiekłszy na rożnie!

— Zjadłby upieczonych na rożnie! zawołałem. W takim razie ulica nie jest dla nas? Nic tu nie mamy do jedzenia a jeszcze nas chcą zjeść?

V.

Lecz przed domy powylewano i powyrzucano odpadki. Przeszukałem całą ich kupę z rozpaczą. Znalazłem dwie czy trzy chude kosteczki, które z popiołem wysypano. Wtedy dopiero pojąłem jak znakomitą rzeczą są świeże dróbka, które u cioci dostawałem. Mój przyjaciel koczur rozgrzebywał śmieci, jak prawdziwy artysta. Zostawił mię na ulicy aż do rana, podczas gdy on nawiedzał piwnice jedną po drugiej i nie spiesząc się wcale. Przez dziesięć godzin z rzędu moknąłem na deszczu i dygotałem z zimna. Przeklęta ulica! przeklęta wolność! Jakże żałowałem mego więzienia!

Nad ranem koczur, widząc, że na nogach ledwie się trzymam, spytał mię dziwnym głosem:

— Czy dość ci już tego wszystkiego?

— O, dosyć, dosyć, odpowiedziałem.

— Chcesz wrócić do swego domu?

— Tak jest, lecz jakże dom odnajdę?

— Chodź ze mną. Dziś rano, widząc, jak wychodziłeś z domu, zrozumiałem, że kot taki tłusty, jak ty, wcale nie jest stworzony dla cierpkich rozkoszy wolności. Wiem, gdzie mieszkasz. Zaprowadzę cię do bramy. Mówił to z prostotą zacny koczur. Gdy przybyliśmy na miejsce, rzekł:

— Zostań z Bogiem — i nie okazał żadnego wzruszenia.

— Nie, zawołałem, my się tak nie rozstaniemy. Pójdziesz ze mną. Podzielę z tobą me łoże i moje mięso. Moja pani jest zacną niewiastą...

Nie dał mi dokończyć.

Milcz, rzekł nągle, jesteś głupcem. Jabym zmarł w twych mdłych wygodach. Twe życie zbytkowne dobre jest tylko dla zwyrodniałych. Koty wolne nie okupią nigdy za cenę więzienia twej smacznej wątróbki i twej poduszki z pierza... Bądź zdrów.

I wbiegł na dachy. Widziałem, jak wielka jego chuda postać postać zadrżała z radości śród pieszczoty promieni wchodzącego słońca.

Gdy wróciłem do domu, ciocia pańska chwyciła dyscyplinę i wymierzyła mi karę, którą przyjąłem z głęboką radością. Odczuwałem prawdziwą rozkosz, że jestem w ciepłem miejscu i że odbieram chłostę. I gdy mię biła, myślałem o smacznym kąsku mięsa, które potem dostanę.

VI.

Widzi pan — zakończył kot wyciągając się przed ogniskiem — prawdziwem szczęściem, rajem, mój kochany panie, jest być zamkniętym i i chłostanym w tym samym pokoju, w którym jest mięso.

Mówię to, rozumie się, o kotach.

19)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Dane powyższe o obydwóch tak pierwotnych plemionach żywo wiążą się z tem, co mówi Prokop (umarł około połowy VI wieku) o Słowianach (de bello goth! 3, 14), że „mieszkają w lichych chałupach (kalybe), oddaleni jedni od drugich, zmieniając często miejsce pobytu". — Zaprawdę, Hucuł do dziś „zmienia często miejsce pobytu". Zimą mieszka we „wsi", w której, jak w Żabiu, chaty są na mile rozsiane, lub w lesie na robocie; latem wynosi się na połoniny ze stadami. Jedno z tych mieszkań czasowych huculskich zwie się zupełnie tak, jak je Prokop w VI stuleciu po grecku „kalybe" nazywał, to jest po huculsku „koliba".— Nazwa ta jednak, chociaż również bardzo stara, związana jest z drzewem (kali — po sanskrycku) jako tworzywem budowlanem, a nie dotyczy ani kształtu, ani rozkładu huculskiej koliby. Natomiast litewska, przechowana nazwa chaty „numas, nomas, namas" żywcem się stosuje do budowli, którą, aby należycie ocenić, należy sobie przypomnieć wszystko, cośmy przy kirgizkim i kałmuckim namiocie powiedzieli, i co nam uczeni o kształtach pierwotnej chaty odkryć zdołali. — Namiot okrągły. Jedyne wejście... ognisko w pośrodku... krokwie w ostrokręgi u góry uwiązane... dymnik u szczytu... łoża dookoła ogniska... Posłuchajmy zaś, jak opisuje kolibę „namas" huculską doskonały znawca huculszczyny, prof. Szuchiewicz, autor pięknej książki, z której cytuję niniejsze wyimki, powtarzając jednocześnie rycinę rozkładu poziomego i widoku, tej interesującej, bo kształtem na wskróś przedhistorycznej, budowli. — (Wiz. 5-ty i 6-ty).

„Leginy" (parobcy) kładą sobie w lesie na jesień łubianki, a na zimę koliby... Na „kolibę" biorą na półtora metra wysokie ośmio- lub dwunastościenne (w koło wpisane) grodzenie z ostrzewia (ostrub-kłoda drzewa świerkowego), które wytykają mchem dobrze, aby „w chatę nic nie wiało". Na wierzchu grodzenia ustawiają krokwie w kozły w ten sposób, aby się zbiegły u szczytu w jedno, kozły pokrywają tarcicami lub korą, grzbiet wylewają świerkową żywicą (zupełnie jak to Al-Bekri o budowie łaźni słowiańskich opowiadał), zostawiając jedynie u szczytu otwór (prozir) dla przejścia dymu. W ścianach niema okien, tylko nizkie podwójne drzwi, od narożów grodzenia do środka dwie ścianki, a w końcu tej ścianki drugie drzwi (tworzy się w ten sposób rodzaj sieni na rycinie oznaczonej). Sień ta nazywa się chorimci (choroma u Rosjan wykwintny dom, chram — świątynia) w niej trzymają wodę, zawieszają na klinkach „sarsamu", u wierzchu siennej ściany składają piły... W kolibie jest bita podłoga z wybrakowa-



WIZERUNEK 5.
Rys poziomy koliby huculskiej: 2. wejście główne, 4. chorimci (sień); 3. wejście do koliby właściwej.



WIZERUNEK 6.
Widok przedni koliby — u góry otwór dymnikowy.

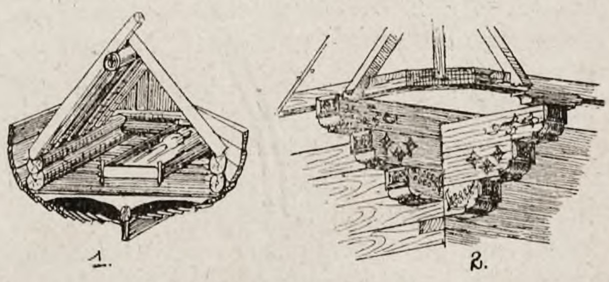
nego drzewa, albo ziemia przykryta korą, „aby z niej zimno nie szło". Na podłogę kładą łóżka (podłoża), czyli niziutkie tapczanki, zrobione także z wybraków drzewnych, opartych na poprzecznych, w głowach grubszych, w nogach cieńszych krąglakach. Spać się zaś kładą na łożach, wyścielonych odpadkami z ciesiołki, głowami do zrębowej ściany, nogami do ogniska (watry), nakrywając się sierakiem lub „weretą"; „podłoże" zarządcy („zawidcia", za-wodza, za-ojca), ustawione obok ściany sieni; w nogach łóżek kładą zastawki z desek, „aby nie piekło w nogi od ognia"; nad łóżkami w głowach przybite półeczki, gdzie „leginy" trzymają swoje rzeczy, oprócz nich zaś sterczą tam garnki, przechowuje się mąka itd. Kładąc się spać, zawieszają huculi siekiery na

klinkach, każdy nad swoją głową, (aby je w potrzebie natychmiast w rękę chwycić można było), łapcie skórzane (postoły) kładą na koniec głowy, by „nie zasychały od ognia“, a onuce ścielą pod siebie, „aby ich dym nie przechodził, bo się od tego drą“.

„Pośród koliby układają ognisko, złożone z podsypki, uczynionej z gliny i kamienia, na wierzch niej cztery ośmio-dziewięciocalowe bierwiono, wymaszczone gliną, aby „ogień na glinie rozłożony lepiej gorzał“ podsypka (podesłanie) jest zaś na to, aby się „ogień podłogi nie czepiał“. Dym z ogniska idzie „proziriem“, otworem górnym, na zewnątrz. Do ognia godzą „zawidcia“, „kajmana“ (patrz tureckie „Kaim-makan“, starosta, rodzaj zastępcy, namiestnika politycznego i litewskie „kme-mytes“, najmita do chaty należący“), to jest takiego człowieka, który porządkuje kolibę, gotuje jeść, rąbie drzewo, nieci i utrzymuje przez całą noc ogień (porównaj: ogień przez cały dzień utrzymywany przez Kałmuków, wieczny ogień Znicz kultu stepowców u Litwinów, utrzymywanie wiecznego ognia w świątyni Westy, bogini ogniska domowego, przez westalki, i wiecznie gorejącą lampkę w kościele chrześcijańskim) w ten sposób, aby ludzi nie piekło, ani nie było zimno w kolebie“.

Jeśli z tak żywo nakreślonego obrazu życia w kolibie, strącimy drzewo, jako materjał nowy — to łupina koliby razem z tem, co się w jej wnętrzu dzieje, tak żywo przypomina namiot Kirgiza lub Kałmuka i tak zgodna jest kształtem i układem z tem, co ludzie uczeni, jako mieszkanie Arjów wyobrażają (przypominam określenia prof. Leftmana), że ją za najstarszy formą pomnik budownictwa europejskiego uważać należy. Stwierdza też to interesująca zgodność i w kształcie z urną domkową italską, jakoteż jeszcze większe podobieństwo do urny domkowej słowiańskiej, na Pomorzu znalezionej. Jeżeli urna z Gandowa na Pomorzu i z Parchimia w Meklemburgu, miarkując po jej dokładnie okrągłym kształcie, jest koszem z wikliny plecionym, a gliną wyłożonym, to „koliba“ huculska stanowi najbliższe jej ogniwo w łańcuchu rozwojowym mieszkań ludowych naszych, a trzecie z kolei, uważając namiot za pierwsze mieszkanie dokładniej zbadane. Starszym od koliby, rodowodowo typem chaty w Europie, byłyby jedynie plecionki z gliny utworzone, ule okrągłe, które istniały na wyspie Long Island do r. 1823. (Karłowicz: Chata polska). Natomiast bardzo ważnem dla pochodzenia huculskiej koliby od stepowego namiotu jest istnienie prawie zupełnie podobnej budowli ośmio, a nawet pięciokątnej drewnianej u Burjatów (ludu na wpół osiadłego w zachodniej Syberji), z ogniskiem w pośrodku, z dymnikiem u góry, opisanej mi przez p. Szwarcego, który wśród nich dłuższy czas przebywał. Różnica jest ta, że kiedy jurta burjacka, będąca syberyjskiem powtórzeniem namiotu w drzewie, jest mieszkaniem letniem, koliba huculska przeznaczoną jest na przybytek zimowy.

Przemiana konieczna, przez długie, równe pnie drzewne jako tworzywo, warunkowana, czyni z chat, budowle prostokątne z czasem. Mimo to jednak i wtedy jeszcze znać w średniem nachyleniu krokwi (około 45 $^0/_0$ stopni), w przewadze połaci dachowej i niskości ścian bocznych,



WIZERUNEK 7.

Przekrój grobu Wikingów; (przez łódź i mieszkanie). Tried. Seesselberg. altgerm. Kunst.

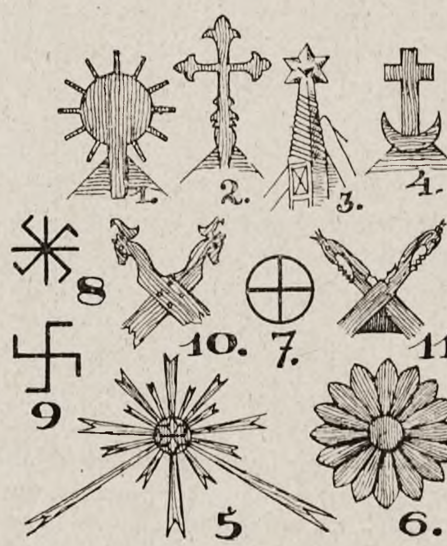
wpływ namiotu. Przykładem tego niech będzie wizerunek powyższy (7-my) wzięty z wybornego dzieła architekta, p. Fried. Seesselberga (alt-germanische Kunst). Grób Wikinga, przekrojony, daje obraz jego życia doczesnego, spędzanego na łodzi i w domu. Dom ten, typ pierwotny i późniejszych mieszkań Normanów, jest jednocześnie prostokątnym wyrazem namiotu, a w rodowodzie mieszkań zajmował by pierwsze miejsce po kolibie huculskiej, a czwarte w całej genealogji. — Pan Zygmunt Gloger, nieporównany zbieracz, znawca i miłośnik zabytków narodowego budownictwa, sztuki i obyczajów, słusznie zauważył, że też stodoły litewskie zupełnym prawie brakiem widocznych ścian bocznych, a rozłożystym. ziemi sięgającym, dachem,

przypominają namiot. Dach chałupy wieśniaczej w Polsce, Litwie i Rusi swojem nachyleniem zresztą ciągle przypomina kąt, pod którym wojłok jest rozpościerany na szkielecie namiotu.

Tak uporaliśmy się z rozbiorem śladów, jakie w kształcie i układzie mieszkań odziedziczył Europejczyk po swojej stepowej wędrówce. — Pozostaje rozpatrzeć obecnie dalsze ślady w motywach i charakterze zdobnictwa zawarte, tudzież w zabytkach, których przeznaczenie i rodzaj, niewątpliwie do kultury namiotowo-stepowej odnieść je nakazują.

Ślady owe istnieją w zdobnictwie ludowem. Zdobienie u ludu bowiem nie jest bezmyślnem nalepianiem lub wyrzynaniem ozdóbek w taki deseń, jak ślina na język, a „fantazja artystyczna“ na papier przynosi.

U ludu ornament ma głębsze, symboliczne znaczenie, jest niejako materjalnem odbiciem jego wierzeń i sądów o otaczającym świecie i o swoim do niego stosunku. — A chociaż nastąpi przemiana istotna światopoglądu, to mimoto dawne zdobnicze symbole żyją jeszcze długo, wprawdzie w nieustannie słabnącem znaczeniu. Na starych kościołach norweskich, mimo całego pokostu chrześciańskiego, sztuka „pogańskich“ Normanów wiedzie swój żywot, i objawia się w rzeźbionych „sagach“, ze świata bóstw Germanów przedchrześciańskich. Prace Holdena i Maleryego nad pismem i rysunkami, wydane nakładem „Smithsonian Institution“ w Londynie, wykazują jako ogólne etniczne zjawisko, że „między rysunkami na naczyniach a kultem plemienia istnieje ścisły związek“. — Cyt. u Ludwika Krzywickiego, Wisła, tom III. str. 99). — Poczucie tego głębszego znaczenia rysunków i obrazów mają nawet dzieci, uparcie pytające się nie „co to jest“, w malowidle lub rzeźbie, ale „co to znaczy?“ — Najgodniejsze, najdostojniejsze miejsca na sprzętach, w izbie lub na domu daje się obrazowi najwyższej w szeregu wierzeń istoty. — Takiem nawskróś dostojnem miejscem na chacie, niegdyś u węższej ściany wejście mającej, jest przyczołek dymnikowy i naroża nad dymnikami tam, gdzie się po obu stronach chałupy kalenica kończy. — Tam też znajdziemy często w Polsce i w Halickiej Rusi formy, przypominające sobą najwyższe



WIZERUNEK 8.

Obraz 1. i 2. słońce i krzyż z jednego domu. (Prusy wschodnie). — *Ob. 3.* Gwiazda poranna (Prusy wschodnie). — *Ob. 4.* Krzyż i księżyc (Prusy wschodnie). — *Ob. 5.* Słoneczko z Zakopanego na przyczołku (Matlakowski „Budownictwo“). *Ob. 6.* Słońce z przyczołku na Pokuciu. *Ob. 7. i 8.* Rozmaite rodzaje ozdób na dnach urn słowiańskich. *Ob. 9.* Swastyka. *Ob. 10.* Sparogi z Prus wschodnich. *Ob. 11.* Sparogi kurońskie.

wyrażenie światła i ciepła, życiodajne słońce. — Znak Wielogłowa, Światłowida mieści się w górach huculskich i u Podhalan na czole chaty, jako Słońce, Słoneczko, podane przez niezapomnianej pamięci Władysława Matlakowskiego, w jego dziele „O budownictwie ludowem na Podhalu“.

C. d. n. *Kazimierz Mokłowski.*



EMMA JELEŃSKA

10)

Z MIŁOŚCI.

14. Sierpnia. Wpływ cioci podziałał na mnie, ale chwilowo. O, gdyby ją tak mieć częściej przy sobie! Ona taka cicha, nienarzucająca się, a jednak umie przekonać i tak coś czasem powie, że to zostaje w pamięci. Mnie dużo mówiła o małżeństwie, o tem, jaką żoną być ma, aby z obu stron było zadowolenie. A gdy jej na to odpowiadałam, że: „mężczyzna i kobieta to dwie zupełnie różne i różnie zorganizowane istoty, z których każda inaczej odczuwa, inaczej myśli, jedna drugiej nigdy rozumieć nie jest wstanie, a jeżeli kiedykolwiek to się zdarzy, to jedynie tylko zapomocą pokrzywdzenia jednej duszy przez drugą“ — wtedy ciocia obie swe ręce kładła na moich i mówiła: „Moja Wandziu, wierz mi — tu na nic filozofja. Czy mąż i żona są tak samo zorganizowane, czy też różnie zorganizowane istoty — do nas to nic nie należy.

Nas Pan Bóg stworzył, a czy tak, czy inaczej, to już Jego rzecz, i pewnie, że On wiedział, co robi. A nasza rzecz — to, żeby mężom naszym było z nami dobrze, i żebyśmy wypełniły nasz obowiązek. A wypełnimy go tylko wtedy, gdy mniej o sobie, a więcej o innych myśleć będziemy. Bo wszelkie osobiste życzenia, marzenia, projekty, plany i aspiracje — to są rzeczy niepotrzebne. Zaprzątają umysł i odrywają go od patrzania w oczy ludziom, z którymi żyjemy, i od zgadywania ich potrzeb i chęci. Prawda? Niemożna razem robić dwóch rzeczy — więc jak jesteś zajęta sobą, to nie możesz zajmować się innemi“.

Prawda. Ale jakiegoż to stoicyzmu na to potrzeba, mój Boże!

Jednak ciocia trochę mnie przekonała. I postanowiłam sobie jaknajmniej myśleć o tem, czegobym *ja* chciała, czego *mnie* brakuje, a najbardziej o tem, czem Karolowi dogodzić. Jak najmniej o tem, jakim on powinien być dla mnie, a najbardziej o tem, jaką ja powinnam być dla niego.

Postanowiłam — i Bóg widzi, że chciałam i chcę jeszcze to wykonać.

Ale tu właśnie cała trudność. Bo niech się jak żona Lota, w słup soli obrócę, jeśli wiem, jaką on mnie mieć chce. Czyż on co kiedy powie? Czy on choć o tem myśli? Czy on choć dostrzega we mnie zmiany? Czy on wie, kiedy jestem smutna, a kiedy wesoła, kiedy zniechęcona, a kiedy pełna ochoty do życia? kiedy w złem, a kiedy w dobrem usposobieniu? Czyż to go obchodzi!

Kocha mnie — więc jak mi się coś złego przytrafi, coś realnie, dotykalnie złego, jak np. choroba zeszłej zimy, to robi wszystko, co może, aby zło usunąć! aby mię wyleczyć, wyratować, i aby znowu wszystko było dobrze. Nie żałuje wtedy ani starań, ani czasu, ani pieniędzy. Ale skoro zło usunięte, wszystko wraca do porządku, nic nie grozi, więc już znowu przestaję go zajmować. Jest, żyje — to i dosyć.

A czy tam ona co myśli, czy nie myśli, czy czuje, czy nie czuje — to już jej rzecz. Niech sobie tam robi, co chce, byleby był spokój. Czasem jeszcze skrytykować suknię, albo pochwalić nowy kapelusz — to można. Ale badać jej charakter, a zaglądać w jej umysł, a zaciekawiać się tem, co się w jej duszy dzieje — Boże kochany, czyż to jest rzecz męża!

Obowiązkiem męża jest: pracować na utrzymanie żony, dostarczać jej pieniędzy na potrzeby, dochowywać wierności, gdy zachoruje — leczyć, gdy wyjeżdża — odprowadzić na kolej, czasem towarzyszyć jej na bal, na imieniny — sprawić prezent i od czasu do czasu powiedzieć: „A mo-

żebyś poszła do Iksów, znudzisz się, tak siedząc ciągle w domu.

Przywilejem męża jest: mieć wyreparowaną i dobrze upraną bieliznę i obiad w porę podany; znaleść o każdej porze czekające na jego skinienie stworzenie wesołe, ładne, czyste, swojskie, które nadaje się do pieszczoty — coś w rodzaju pieska pokojowego, który się łasi, którego można targać za uszy, głaskać, klepać i mówić: dobra, dobra psina! poczciwa psina! kochana psina! — mieć kogoś, co pisze nudne listy z powinszowaniami, co pamięta o rożmaitych rocznicach i wie, co na każdą z nich jest do zrobienia; co robi rachunki z kucharką, myśli o maśle, o kartoflach, o zamarynowaniu grzybków, o posoleniu ogórków, i t. p. co wreszcie przyjmuje i oddaje wizyty i stanowi przed światem „dom"; wreszcie i nadewszystko — mieć przez rok okrągły tuż pod ręką posłuszną, podobającą się i wytresowaną kochankę, która ani się nie rozgrymasi, ani nie powie „nie", ani wyzyskiwać nie będzie, ale owszem, z otwartemi ramionami zawsze przyjmie, i cała odda mu się z radością i zapałem. Mąż, który te obowiązki wypełnia i z tych przywilejów korzysta, jest dobrym, wzorowym mężem. A żona, której się czegoś więcej zachciewa, jest dziwaczką i histeryczką, o której wspominać niewarto.

A jeśli mam mówić o sobie i Karolu, to zdaje mi się, doprawdy, że jesteśmy w porządku. On względem mnie obowiązki swe wypełnia, przyznaję mu to w zupełności. Czy mu to wystarcza? Zdaje mi się, że tak, bo przecie powiedziałby wyraźnie, gdyby mu się co niepodobało. Kilka razy, zwłaszcza w pierwszych czasach, zdarzyło mi się zrobić coś nie wedle jego myśli. Wtedy zawsze mi to wymówił. Więc dlaczego miałby się żenować?

On dobrze wie, że wszystkobym zrobiła, coby tylko zechciał. Przecież nigdy się z nim nie kłóciłam o te codzienne drobiazgi. Bo mnie jest zupełnie wszystko jedno, czy np. obiad jest o drugiej, czy o piątej, albo czy mam mieć stosunki z temi czy z innemi osobami, albo czy będę miała różową czy zieloną suknię na balu. Ja w tych rzeczach mam bardzo mało ambicji, mnie zupełnie o co innego chodzi — i z pewnością zawsze bym z przyjemnością stosowała się do jego woli. Niechby ją tylko objawiał! Niechbym czuła, że, coś robiąc, sprawiam mu radość, czy udogodnienie, że robię coś dla niego. Niechbym czuła, że w życiu jego jestem czemś, że mu jestem potrzebną, że on się ze mną liczy, że stanowię dla niego jakąś wartość. O, gdybym to czuła!

Jak zazdroszczę tym żonom, które coś mogą robić dla swoich mężów. Wyobrażam sobie, że są one całkiem inaczej traktowane. Naprzykład, Julka — ona bardzo mężowi pomaga. Przez nią utrzymują się te stosunki, o które mu tak chodzi, ona umie „prowadzić dom", zbiera u siebie potrzebnych ludzi, jedna ich sobie, a potem on z tego korzysta, i dzięki temu, robią karjerę. Albo Miłkowiczowa — wychowuje taką gromadkę, sama dla nich szyje, dziewczynki uczy, chłopców do gimnazjum przygotowuje. A ciocia — naprawdę to ona zajmuje się całem gospodarstwem, bo wujaszek nigdy nic nie robi.

A ja cóż mogę zrobić dla Karola? On niczego odemnie nie wymaga, w niczem mu pomódz nie mogę. Nawet by tego niechciał, wszak on niecierpi, gdy zrobię wzmiankę o jego zajęciach. On nawet nie wie, co ja umiem, albo czego nie umiem — nie domyśla się wcale tego, co jest we mnie, to go nic nie obchodzi, nic nie zaciekawia. Czy on choć raz spojrzał uważnie na mnie, jako na człowieka? Czy on mnie w ogóle ma za człowieka?

15. Września. Była tu Julka przejazdem ze wsi do Warszawy. Mieszkała nawet u nas przez dwa dni. Tak mi było przyjemnie ją mieć — ona taka miła, ładna! Zaprasza mię do siebie, do Warszawy, na parę tygodni. Mówi, że powinnam wyjechać trochę, zobaczyć ludzi — bo tu zginę w tej dziurze, stetryczeję i zestarzeję się przed czasem. To prawda, że tu zgnić i stetryczeć łatwo. Wszyscy tu znudzeni, spracowani, przygnębieni — ani świeżego podmuchu ze świata, ani jaśniejszego promyka! Mężczyźni apatyczni, obojętni na wszystko, idą przed siebie, jak te woły w jarzmie, i widzę, że już ich nic lepszego nie czeka, że nie mają przed sobą przyszłości. Kobiety ruszają się, bo ich natura potrzebuje choć odrobiny rozmaitości. Więc, jak kury na śmietnikach, trzepocą się, gdaczą, podlatują, grzebią, drepcą. *A la longue* — wściec się można.

Więc zaproszenie Julki bardzo jest nęcące. Ale bodaj, że nic z tego nie będzie. Najprzód szkoda mi Karola. Wiem, że się bezemnie doskonale obchodzi, ale w każdym razie jestem jego żoną, więc wstyd mi bawić się, kiedy on się tu zapracowuje.

Jakoś to nie honorowo — prawda? On te całe lato spędzał przy pracy, ani jednego dnia wakacji nie miał. Ja nic nie robiłam. A teraz miałabym szukać przyjemności, a jego dalej zostawiać w jarzmie.

Nie! Nie umiem, czy nie mogę mu być pomocą, to choć obecnością swoją przy nim powinnam świadczyć, żem gotowa do wszystkiego.

Julka się śmieje, gdy jej to tłumaczę, i mówi: „Dziecko jesteś! On ani wie, że ty się dla niego poświęcasz. Ani trochę więcej cię za to kochać nie będzie, Jeśli ciebie nie potrzebuje, to i chwała Bogu.

Nieznośni ci mężowie, którzy swych żon ciągle potrzebują. *J'en sais quelque chose.* A używaj życia, póki czas — pod starość już mało co bawi. Spiesz się!“ Może ona i ma rację — czy ja wiem! Mnóstwo żon tak myśli i wedle tego postępuje — i ani trochę mniej od innych nie są kochane. Przeciwnie, może więcej. Naprzykład — Znajecka, pewnie jej nigdy przez myśl nie przeszło oglądać się na męża i z nim się liczyć. A czy jej źle? Czy jej mąż nie kocha?

Ale ja nie mogę! nie mogę!

Jabym owszem mogła i lubiła poświęcać się dla kochanych osób. Lubiłabym dla nich pracować, trudnić się, wyrzekać się tego lub owego. Ale za to czuć się osią, około której ich życie się obraca, czuć się ogniskiem, do którego przychodzą się grzać, czuć się im niezbędną. Za to mieć czasem od nich dobre słowo — nie podziękowania lub wdzięczności — ale choćby przyjaźni, porozumienia — lubiłabym...

Ale mniejsza o to! Przecież to rzeczy niemożliwe...

24. Września. Tak mi zaproszenie Julki utkwiło w myśli, tak mi się ta wycieczka uśmiechała, iż ułożyłam sobie koniecznie ją do skutku doprowadzić.

Ale tak, żeby Karol też pojechał, choćby na tydzień. Jakiby to był i dla niego dobry wypoczynek! Jakby mu było przyjemnie! Teatr, wielkie miasto; mnóstwo przyjemnych znajomych — szersze odetchnięcie życiem świata! Więc przed paru dniami ostrożnie poruszyłam tę kwestję. Wysłuchał, pomyślał i rzekł: „Toby kosztowało za dużo!“ Wtedy i ja zaczęłam obliczać. Tak, toby kosztowało dużo, bo, oprócz innych wydatków, jabym potrzebowała koniecznie paru sukien.

Towarzystwo, bywające u Julki, bardzo strojne. Moja wyprawa zaś była taka skromna, że przez te przeszło dwa lata wydarłam się ze wszystkiego prawie — i garderobę mam teraz w smutnym stanie. Julka z tego względu również radziła mi wybrać się do Warszawy, bo tam wszystko jest ładniejsze, i można o wiele lepiej się ubrać.

W tem Karol dodał: — Nie, co do mnie, o tem nie może być mowy. Nie mogę wyjeżdżać. A ty, jeśli chcesz koniecznie... Tylko, że teraz trzebaby się zaoszczędzić...

Co to jest? Pierwszy raz to słyszę od niego. Dotąd nigdy o oszczędzaniu się nie mówił. Pieniądze dawał mi, ile razy potrzebowałam, bez żadnych uwag. Czyby jego interesa były złe? Więc czemuż mi tego wyraźnie nie powie?

Naturalnie, że nie pojadę do Warszawy.

IX.

W gabinecie Karola było aż ciemno od dymu. Od paru godzin siedzieli już tam zamknięci we trzech, pochyleni nad rachunkami, zmęczeni i zdenerwowani, i palili — palili. Stosy niedopałków zapełniały popielniczki, a nad głowami wisiał sinawy obłok.

— Ostatecznie, cóż postanowimy? — spytał Rucz, wstając.

— Bank odmawia stanowczo? — Karol raz jeszcze zagadnął.

— Stanowczo, — odparł Husło, trzeci wspólnik w budowlanej współce. — Miasto przebudowało się — ciągłe są bankructwa. Bank nie chce się narażać. Dał nam już przeszło pięćdziesiąt tysięcy, uważa, że to dosyć. — Wziął kapelusz i do drzwi się zwrócił. — Muszę już iść — decydujcie się — rzekł.

Przez chwilę milczeli jeszcze, aż Karol zaczął: — Położenie jasne, zrobiliśmy fatalny interes. Ale brnąć trzeba dalej, aby choć cokolwiek odzyskać. Musimy skończyć budowle, które może choć tanio sprzedamy — w każdym razie dochód jakiś będzie.

— Ale za co kończyć, kiedy bank nie daje? — przerwał Rucz gniewnie. — Swoich pieniędzy już nie mamy. A wiosna już niedaleko! Zresztą i jesienne roboty jeszcze nie opłacone.

— Może znajdzie się jaka pożyczka?

— Jest Wulf — on gotów awansować z dziesięć tysięcy, — rzekł Husło — ale złe warunki...

— Ha, cóż robić! Byleby do jesieni skończyć.

— Tak. Trzeba się z Wulfem porozumieć.

Na tem stanęło. Dwaj spólnicy wyszli. Karol został sam. Usiadł na swojem miejscu przed biórkiem i głowę oparł na ręku.

Cisza zalegała pokój. Z ulicy dochodziło brzęczenie dorożkarskich sanek, bo pierwszy śnieg już się był rozesłał po świecie i jeżdżono zawzięcie. W głębi mieszkania Franciszek nakrywał do herbaty. Wanda wyszła przed paru godzinami na *fife o'clock* do Znajeckich, i miała wkrótce powrócić. W ciszy i samotności, z głową opartą na dłoni, Karol myślał.

Rwało mu się jakoś od pewnego czasu. Niedawno w sądzie przegrał ważną sprawę, pomimo, że obronę przygotował pracowicie i prawie pewnym był powodzenia.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Sprawozdania komisji do badania historji sztuki w Polsce. Tom VII. Zeszyt 1 i 2.* (Wydawnictwo Akademji Umiejętności w Krakowie).

Po długiej, a dla miłośników tego wydawnictwa bolesnej przerwie, ukazały się z niecierpliwością oczekiwane dalsze zeszyty tego poważnego i jedynego w swoim rodzaju w Polsce wydawnictwa.

Imiona autorów, znanych dziejopisów naszej narodowej sztuki, widnieją na karcie tytułowej.

Szereg prac rozpoczyna rzecz o kościele romańskim św. Andrzeja w Krakowie.

Jestto ostatnie dzieło opisowe ś. p. Władysława Łuszczkiewicza, nieporównanego badacza romańszczyzny w Polsce. O samym Łuszczkiewiczu zamieścił żałobne słowo, odnoszące się do jego płodnej działalności pan Leonard Lepszy.

Pan Feliks Kopera podzielił się z czytelnikami tem, co zbadał w bibliotekach petersburskich. Znajdują się tam bowiem zrabowane razem z biblioteką Załuskich cenne rękopisy, bogato oprawione i illuminowane, z pierwszych wieków kultury chrześcijańskiej w Polsce.

Jądrem tych dwu zeszytów jest wyborna i gruntowna praca prof. Marjana Sokołowskiego, rzucająca dużo światła na dzieje szkół snycerskich w Polsce XV. i XVI. stulecia.

Pan Władysław Łoziński, szczególny znawca dziejów sztuki lwowskiej poświęca ustęp „Ormiańskiemu epilogowi lwowskiej sztuki złotniczej“.

P. Hieronim Łopaciński omawia obrazowaną allegorję polityczną z czasów Stefana Batorego

Pan Franciszek Bujak dał pilnie uzbierane materjały do historji miasta Biecza.

Szereg zajmujących wzmianek mieści się w sprawozdaniach komisji historji sztuki za czas od 1. stycznia do 31. grudnia 1899 roku. Czyniąc zadość wzmożonej dzisiaj uwadze na budownictwo drewniane, wspominamy o wizerunkach bożnic w Śniadowie i w Końskich.

Żałować jednak należy, że owe drobne i niewyraźne obrazki tak małe dają wyobrażenia o szczegółach budowniczych tych interesujących zabytków sztuki ludowej.

K. M.

Dzień on — Dzień gniewu Pańskiego. Z pod pióra autora „Legend“, Andrzeja Niemojewskiego, wyszło nowe dzieło, niejako udramatyzowany znak zapytania. Z każdego słowa w tym utworze przebija straszna rozpacz: „Nie wiem!“ — Oto treść utworu.

Cmentarz...

Kolegjum uczniów filozofji, z profesorem na czele, oddaje zmarłemu koledze ostatnią przysługę — grzebiąc go bez świateł, bez księży, bez odgłosu dzwonów. Widocznie zmarły został wyklęty przez Kościół, skoro odmówiono wszystkiego. A że „w młodym nieboszczyku tkwił jakiś człowiek ponury“ — można wnosić, że odebrał sobie sam życie, party żądzą zgłębienia, co też tam za tą ścianą się dzieje.

Staruszek-profesor przemawia nad otwartym grobowcem do młodzieży, wyrażając wiarę, że umarły żyje, że żyć będzie na wieki, ale wśród młodych umysłów wywiązuje się zwątpienie, następnie sprzeczka. Profesor chwieje się. Wiara, którą od dzieciństwa wyznawał, pryska, jak bańka mydlana.

Po odejściu orszaku pogrzebowego zjawia się mgła duchów, myśli, oraz młody nieboszczyk, ze słowami na ustach:

„Wieczności!
U twoich stanąłem bram
I pytam ustami Ludzkości:
Co Prawda, a co Kłam?
Ja pielgrzym, żywotem znękany,
Zerwałem cielesne kajdany,
Ja, dusza myśląca, tu staję
Po długim, daremnym trudzie,
Nie straszą umarłych mnie kraje,
Bo ty mi, tajemnic strażnico,
Wszechwładną ukażesz prawicą:
To wszystko — tam!“

Na to odzywa się jeden ze szkieletów:

„Żali mnie pytasz? Ja — proch!“

Umarły młodzieniec porywa jednak za sobą całe rzesze duchów cmentarnych, by złączonemi siłami „wie-

czność okrążyć“. Lecz tłum ten buntuje się, porywa go zbuntowaną gromadą i rwie „ducha jego w strzępy“.

Dalej noc księżycowa, świetlana. Profesor przybył do grobowca chwiejnym krokiem, on, rozumny, przez świat czczony, on, uczony, przyszedł i klęka, „słuchaj, synu, co go nęka“ i powiedz, co wiesz, powiedz, bo wstydzę się wawrzynu, zdobiącego szczyt mównicy...

Lecz nic, nic i nic... Profesor słyszy z cmentarnej kaplicy pieśń: „Skarbem moim wiara, Bóg prawdziwy“— i pada na twarz. Zjawiają się szkielety i drwią z siwej głowy. „Patrz, pod skorupą tej ziemi ile tam legło głów, a wszystkie patrzą ku tobie, boś uczony, bo zgłębiłeś naturę, patrzą i błagają odpowiedzi“. Cała natura, każdy kwiatek i pyłek pyta cię, miljonem tchnień bije ku tobie. Nawet dzień biały idzie ku tobie z pytaniem... A ty — ha, ha, ha!... I znów profesor pada bezsilny, aż nadchodzi czarno ubrana kobieta z dzieckiem, na mogiłę zmarłego. Dziecko pyta matki: „Co to znaczy... umarł?“ — „Znaczy, że nie przyjdzie już do nas“. „No, to my do niego pójdziemy — odpowiada dziecko — ale gdzie on jest, gdzie?“ Wtem spostrzegło starca profesora, zbliża się do niego ze strasznem zapytaniem: „Gdzie jest ten umarły?“

Jakżeż bolesnem dla starca uczonego jest to naiwne pytanie!... Drgnął, patrzy na dziecię z przerażeniem, ujmuje się rękami za skronie, a dziecię pyta coraz prościej i natarczywiej: „Gdzie on?“ Dwaj posługacze cmentarni zbliżają się, zajęci zamiataniem ścieżek. „Kto też tu leżeć może w tym nowym grobie?“ — pyta jeden drugiego. „Djabeł go wie!“ — brzmi odpowiedź.

Taką jest treść sztuki Niemojewskiego, napisanej przejrzyście, pięknym, potoczystym językiem i wierszem, którego główną i najwyższą cechą prostota, co wobec tak abstrakcyjnego tematu jest rzeczą wielkiego znaczenia. *Kazimierz Króliński.*

*

Passendorfer Artur: *Błędy językowe młodzieży szkolnej.* Książeczka ze wszechmiar dla szkolnictwa pożądana i upragniona. Uczniowie niemal tradycyjnie z pokolenia w pokolenie dziedziczą spaczenia językowe, liczne wadliwości i wnoszą je potem w życie zarówno towarzyskie, jak zawodowe, Szczęśliwą miał rękę autor omawianej broszurki, doskonały pedagog i gorący obrońca ojczystej mowy. Trzymając się nadzwyczaj trafnej i jedynie prawdziwej zasady, — że język jest istotą żyjącą, rozwijającą się — nie martwą literą kodeksową, uważa za najwyższy trybunał w jego sprawach, współczesny, powszechnie panujący zwyczaj. Na poparcie swego założenia cytuje słowa Brueckner: „Języka poprawiać nie wolno, co innego błędy językowe ludzi, nie umiejących po polsku pisać“. Oczywiście przeznaczając rzecz swoją do praktycznego użytku, — był autor skrępowany pisownią, naznaczoną przez Radę szkolną, — mimo to w granicach tych poniekąd ustawowych, — uczynił wszystko, co nauka i życie wskazywało, ze zbyt widocznym pietyzmem i gorliwością. Praca prof. Passendorfera jest wyciągiem, przygotowanego do druku, słownika gramatycznego dla młodzieży szkolnej.

*

Zboczenia mowy. Napisał dr. Wł. Ołtuszewski. Warszawa 1902. Wydawnictwo M. Arcta.

Autor wyjaśnia ze stanowiska lekarskiego przyczyny różnych wadliwości mowy, jak niemoty, bełkotanie, mowy nosowej i podaje zasady leczenia tych wadliwości. Zboczenia mowy, o ile nie polegają na zmianach anatomicznych i ubytkach w mózgu lub w narzędach mowy, są uleczalne a niektóre z nich, np. jąkanie, są przeważnie dla racjonalnego leczenia dostępne. Ułomności w wymawianiu słów i wogóle w mowie są bardzo często a stają powodem upośledzenia towarzyskiego i różnych przykrych codziennych niedogodności. Osoby, dotknięte zboczeniami mowy, czują się nieraz bardzo nieszczęśliwemi a nawet zdarzają się wypadki samobójstwa z powodu tych ułomności. To też zapewnienie ze strony lekarza specjalisty, że bardzo wiele chorób z tego zakresu da się uleczyć, doda otuchy tym upośledzonym osobom. Jeśli jednak przeczytają rozprawkę dr. Otłuszewskiego, przekonają się, że rozsądne leczenie opierać się musi na dokładnej znajomości ustroju i wielce skomplikowanego mechanizmu mowy a zatem stanowić może wyłącznie specjalność ściśle lekarską.

SZTUKA. *Wystawa afiszów artystycznych* w Muzeum premysłowem miejskiem, zamknięta w ubiegły poniedziałek, zdołała ściągnąć zaledwie kilkadziesiąt osób. A jednak wystawa ta choć tak niewielka, bo zaledwie 200 okazów europejskich i amerykańskich obejmująca, przedstawiała przecie materjał wcale interesujący a zarówno dla publiczności jak i dla artystów naszych wysoce pouczający, tembardziej, że uzupełniały ją wyborne podręczniki będące już to własnością lwowskiego, już to berneńskiego muzeum przemysł., które to właśnie tę wystawę okrężną w obieg puściło. W sztuce zachodnio-europejskiej stanowi dziś plakat artystyczny osobną gałąź coraz bujniej się rozwijającą, która liczy już całe szeregi pierwszorzędnych przedstawicieli. Istnieje już w tym kierunku cała bibljografja, czasopisma specjalnie plakatowi poświęcone, oraz bogate zbiory publiczne i prywatne. U nas tymczasem ten dział sztuki tak bardzo współczesny, który wprowadza piękno nawet w dziedzinę reklamy, leży prawie zupełnie odłogiem. Z małymi wyjątkami to, co się u nas w tym kierunku produkuje, ze sztuką nie ma nic wspólnego albo też wykazuje zupełne niezrozumienie istoty plakatu. Plakat winien być przedewszystkiem efektowny t. j. zwracać na siebie uwagę linją i barwą, oraz pomysłem, który powinien tłumaczyć się jasno, zawsze w związku z przedmiotem reklamy pozostając. Będzie on tem lepszy, im będzie prostszy, im artysta mniej gubić się będzie w szczegółach i im silniej wrażeniowo przemawiać będzie. Po za tem ma artysta dla swej indywidualności pozostawioną swobodę zupełną.

Pierwsze miejsce na polu plakatu artystycznego zajmują dziś Francuzi i Anglicy. Pierwsi odznaczają się smakiem, finezją i lekkością, drudzy większą surowością i na ogół większym zmysłem stylizatorsko-dekoratywnym. Pod ich wpływem pozostaje większość artystów innych krajów, uprawiających afisz, jak głównie: Ameryka, Belgja

i Niemcy. „Ojca afisza francuskiego“ Cheret'a oglądaliśmy w muzeum kilka wybornych afiszów, jak zawsze u niego, w jasnych barwach utrzymanych, śmiałych w ruchu a pełnych wdzięku w pomyśle. Obok niego reprezentowani byli: świetny stylizator Grasset i słynni karykaturzyści: Caran d'Ache, Léandre i Steinlen. Do Francuzów zaliczono także Czecha Muchę, znanego ze swych pięknie i tak oryginalnie stylizowanych afiszów dla Sary Bernhard. Anglicy i Amerykanie bardzo słabo byli reprezentowani, na uwagę zasługiwały zaledwo dwa dzieła Dudley-Hardy'ego (należało dać choć po jednym Aubrey-Beardsley'u i Bradley'u!). Z pośród Niemców, podwójnie ciężkich w porównaniu z Francuzami wyróżniały się jedynie plakaty Dietza, Fischera i T. T. Heinego, znanego karykaturzysty-satyryka ze „Simplicissimusa“. W dziale austrjackim wyróżniali się: Kolomoser i Karpelles oraz Czesi: Hynaïs, Orlik i Zupansky (plakat wystawy rodinowskiej w Pradze). Polskich afiszów zdołano zaledwie zebrać kilkanaście: znany afisz „Sztuki“ Axentowicza (głowa kobieca okolona laurem), świetny afisz Weissa (dama w kapeluszu) i kilka innych Mańkowskiego, Laskowskiego i t. d. jeszcze słabiej. Szkoda, że nie zdołano zebrać wszystkich afiszów polskich (a jest ich tak mało), ażeby przekonać się, że nic właściwie na tem polu nie posiadamy. A przecież tacy Wyspiańscy i Dębiccy samą naturą swych talentów, zdają się być powołani na mistrzów plakatu polskiego. *A. C.*

NOTATKI. *Konkurs poetycki „Wędrowca“.* Warszawa lubi poezję, tak — tę poezję, którą protegują kurjerki a którą fabrykują *en masse* rozmaitego rodzaju Gawalewicze. „Szedł z wierszy jego ambry dym, smak miały mdły pomadki“... Redakcja „Wędrowca“ postanowiła podźwignąć z upadku poezję warszawską. Więc na wzór średniowieczny ogłosiła „igrzysko kwiatowe“: konkurs na balladę i sielankę! Jako nagrody wyznaczono kwiaty, róże i lilje, złote i srebrne. Lecz próżno „kazać w niebo iść — ściętemu drzewu“ i z początkiem XX w., choćby nawet i w Warszawie — wskrzeszać formy czysto romantyczne. Tego rodzaju eksperyment literacki — pozostać musiał tylko eksperymentem. Dowiódł tego wymownie wynik konkursu, w którym zdaje się, z po za grona warszawskich poetów nie wziął udziału nikt wybitniejszy. Nie nadesłano ani jednej właściwej ballady, ani jednej właściwej sielanki. Prawda, znalazła się jedna właściwa ballada — niestety, nie nadająca się do wyróżnienia. Za sielankę właściwą uznano liliją złotą wyróżniony utwór pni Ostrowskiej „Ze słońcem“ — jest to jednak raczej sielankowy obrazek nastrojowy, który choć bardzo udatny, nie daje jednak wcale wyobrażenia o niepospolitym talencie autorki, właśnie w świeżo wydanym tomiku świetnie ujawionym. Więcej charakteru sielankowego posiada już drugą nagrodą odznaczony utwór K. Glińskiego „Ułan i dziewczyna“. Z dwu odznaczonych „ballad“ pierwsza p. W. Nawrockiego jest, jak wyznaje samo jury, raczej romancą, druga p. K. J. Jasińskiego raczej dumą historyczną. Charakterystyczna *pointe'a* konkursu, która by powinna dać do myślenia redakcji „Wędrowca“, jest fakt, że najlepszą z rzeczy nadesłanych jest ballada p. L. Konarskiego p. t. „Przygody ostatniego Donkiszota“, którą postawić musiano *hors concours*, jako utwór... humorystyczny. W Warszawie nie brak nigdy humoru — nawet konkursom poetyckim. *A. C.*

*

Motywa swojskie. Znane Wydawnictwo Salonu malarzy polskich, wzbogaciło się nową serją kart pocztowych art. malarza *Pociechy*, zawierającą 10 motywów pejzażowych, akwarelą malowanych. Karty te górują nad zagranicznemi artystycznem wykonaniem i tą śliczną nastrojową nutą, której zastąpić nic nie zdoła, — a która się zowie ojczystą swojskością. — Śmierć Siemiradzkiego odbiła się także na wydawnictwie „Salonu“. Subtelnie wykonana kurtyna teatru krakowskiego wraz z popiersiem zgasłego artysty — jest prawdziwą ozdobą wydawnictw ruchliwego i zasłużonego przedsiębiorstwa.

*

W imię pierogów. Znowu nieporozumienie. Jacyś znawcy sztuki z magistratu i banku krajowego nie przyjęli tegorocznej premii T. P. S. P. odesłali ją z powrotem dyrekcji i wystosowali protest — Prof. Antoniewicz snać łudzi się wciąż jeszcze, że Lwów leży w Europie, chociaż leży nad Pełtwią. Nieuleczalny optymista, któremu wydaje się, że Towarzystwo, dając członkom swoim premję doroczną, dbać winno przedewszystkim o to, ażeby dać prawdziwe dzieło sztuki. Ależ, szanowny profesorze, my przeciwko wartości artystycznej nic nie mamy, ale żądamy przedewszystkiem mieć coś efektownego do powieszenia w naszych salonach, coś, coby można oprawić porządnie w solidnie pozłacane ramy, my chcemy anegdoty, historji, literatury. Dawaj nam pan „Dirce“ „mistrza“ Siemiradzkiego, „Polonję“ „mistrza“ Styki — *a la bonheur!* Ale pańskiego Ruszczyca możesz pan sobie zakryć tak prędko, jak go pan odkryłeś. Nawet kucharka radcy Myleja oświadczyła kategorycznie, żeby podobnego paskudztwa u siebie w kuchni powiesić nie dała. Bo i cóż to jest, na miły Bóg, jedna brudna plama! Mogą sobie wszyscy prawdziwi artyści polscy twierdzić, ile im się podoba, że to jest dzieło sztuki i dzieło sztuki polskiej, narodowe nie tylko dlatego, że jest polskie duchem i formą — nie nas brać na takie kawały! — A niech Towarzystwo nie zapomina, że nie nos dla tabakiery, ale odwrotnie. Dajecie nam majonez, a my chcemy pierogów, tak pierogów ze serem, kartoflami, kapustą, byle pierogów... *Eviva l'arte!* *A. C.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8